№ 7.

WARSZAWA DNIA $\frac{4}{16}$ LUTEGO R. 1867

TYGODNIK MÓD I NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

Korrespondencja z Paryża.

DRAMAT HISTORYCZNY

P. BOUILHET.

(Dokończenie).

Żeby poznać dokładnie jak wątłą i niezdarną fikcię, autor ochrzcił nazwą dramatu historycznego, trzebaby szczegółowo przebiedz całą sztukę, czego nie mogąc dopełnić, przestać musiemy na ogólnym szkicu i wybitniejszych scenach.

Zaraz z początku autor poucza nas, że Katarzyna szczególną zawiścią przejęta do pięknéj Marji Stuart, nudzi się niemiłosiernie i szuka gwałtem rozrywki. Jest to fałsz bardzo wyrazisty, bo Katarzyna nikogo nie kochając tylko siebie, mogła wprawdzie nienawidzieć Marją, ale żeby się nudziła, prowadząc skrytą walkę z Gwizjuszami o przewagę nad królem, na to przystać nie podobna. Było tam zawiele powodów, nie tylko niszczących nudotę, ale i sen spędzających z oczu.

W tem rozchodzi się wieść o spisku Hugonotów przeciw niéj, Gwizjuszom i królowi. Katarzyna cieszy się jak dziecię nowością, że wyrwaną zostanie z nudów powszedniego życia, chociaż wedle historji była to zapowiedź bardzo niebezpiecznéj walki, mającéj rozstrzygnąć losy i życie wielu ludzi. Wszyscy nie czując się bezpiecznemi w Paryżu, uciekają do Ambois. Wiemy już jak uderzenie Hugonotów na to obronne miejsce wypadło dla nich nieszczęśliwie, i że nie tylko prawie wszyscy zginęli w Loarze lub na rusztowaniu, ale nadto sam Kondeusz został uchwycony. Tymczasem autor zapomina o tem i późniejsze przybycie Kondeusza do Orleanu na mocy żelaznego listu łączy z Ambois. Odtąd zaczyna się intryga przepełniona kłamstwem i lekceważeniem historji.

Przekręcona i wykręcona, jak dla autora było dogodniéj, historja staje się jego najniższą sługą, i płaszczy się wygina wedle naprzód obmyślanego planu.

Ponieważ miłość jest to żywioł najpotężniejszy i najwięcéj zajmujący, autor więc robi Kondeusza zakochanym w hrabinie Brisson. Mógł się w niéj kochać albo nie kochać, mniejsza o to, ale nie miłość zwabiła go na dwór królewski, ale sprawa wyznania i ona to razem z listem żelaznym stała się łapką któréj nie mógł uniknąć. Autor jednak szczegół ten pomija i Kondeusza zwabia w sidła, potęgą miłości hrabiny Brisson. Jednocześnie z przybyciem zaczyna zaraz pojmować niebezpieczne swe stanowisko, straszą go egzekucje, swiadomość uknutego spisku przeciw dworowi i Gwizjuszom, postanawia więc uciekać, ale niepodobna mu rozstać się z kochanką bez pożegnania. Na schadzce z hrabiną zjawia się zagorzały Hugonota Poltrot, który z całą potęgą przekonania gromi wodza za uległość pięknym oczom syreny, przedstawiając świętość i wielkość celu, jakiemu winien poświęcić się bezwarunkowo. Jest to scena najpiękniejsza z całego dramatu, pełna ognia malująca wybornie siłę ówczesnego fanatyzmu. Kondeusz jednak pozostaje nieczuły, Poltrot wpada w rozpacz łaje, fuka, robi wyrzuty, pada na kolana, prosi, zaklina, wódz zimny jak kamień odrzuca obowiązek i postanawia pokazać się na dworze jak to mu doradzała kochanka. Ocknieni Gwizjuszowie obecnością swego wroga, podburzają króla i Kondeusz zostaje uwięziony, posądzając kochankę o zdradę i zmowę z nieprzyjaciołmi. Wyrok śmierci przyjmuje obojętnie, w czasie stawiania rusztowania, gra w kości, ułaskawienie od śmierci pod warunkiem pogodzenia się z Gwizjuszami, odrzuca z dumą, usprawiedliwiającéj się kochanki nie słucha, a gdy ta mu zostawia wybór między wol-

nością a trucizną, odrzuca obie, bo wolnym być nie chce poniżeniem się do zgody z Gwizjuszami, a zginąć pragnie śmiercią mu przeznaczoną aby go nie posądzono o tchórzostwo, największą podłość jakiéj się lęka. Hrabina w obec takiego bohaterstwa, przejęta najwyższą miłością postanawia nie przeżyć swego kochanka i wypija truciznę. Pośpiech za wielki i niczem nie usprawiedliwiony, jednem tylko pragnieniem efektu scenicznego.

W chwili pierwszych oznak działania trucizny na hrabinę, królowa Katarzyna zjawia się w więzieniu, zawiadamia o śmierci króla i o zupełnem przez siebie jako rejentki państwa uniewinnieniu Kondeusza. Ale kochanek patrząc na umierającą hrabinę nawet nie słucha słów królowéj, wpada w rozpacz, pragnie się zabić, na skinienie jednak Katarzyny rozbrojony z oręża, ulega swemu przeznaczeniu.

Oto jest treść dramatu. Wszystkie osoby do niego wchodzące oprócz jednego Poltrot'a, zimne, sztywne, nienaturalne.

Kondeusz najstaranniéj obrobiony, ale to nie surowy wódz Hugonotów, grzmiący potęgą swego przekonania, ale gruchający miłośnie gołąbek, zaprzątający się więcéj błękitem nieba, świegoleniem ptasząt, uczuciami serca, szmerem strumieni, jak sprawą dla któréj się poświęcił. Królowa Katarzyna ni to ni owo, więcéj ziewa jak intryguje, król Franciszek tak w dramacie tym potrzebny jak piąte koło u wozu. Zawadza tylko i ani razu nie zajmuje. Hrabina Brisson niby pojmuje świętość obowiązku, o godności prześlicznie rozprawia, ale mimo tego jest ciągle jak chorągiewka na dachu, ulegając wszędzie podmuchom własnych namiętności. Wreszcie to kręcenie się całego dramatu, w kółku miłosnéj intrygi, nuży i niesmak obudza. Żywioły występujące z nią do walki, wstrząsające wówczas całym krajem, tu są przyczepione jakby od niechcenia, jakby z musu. Wprawdzie miłość w życiu ludzkim najważniejszym jest czynnikiem, ale w dramacie historycznym, powinna stanowić nie główne zadanie, ale tylko środek do lepszego uwydatnienia stanowiska politycznego osób do niego wchodzących, ich dążenia, zabiegi i sposób myślenia. Może być wielką, majestatyczną, podniesioną do najwyższéj potęgi, ale nie stanowić jedynego celu dramatu, szczególniéj też gdy nie jest wziętą z historji, a tylko wysnutą z wyobraźni autora.

Mimo tych wad płynących głównie z przekręcenia dziejów, a małéj liczby przymiotów, dramat cały wywarł na widzach przychylne dla autora wrażenie. Wysłuchano go w ciszy, późniéj nagrodzono oklaskiem i ogłoszono jako znakomitość, rzucając pod jéj podnóżek wszystkie inne utwory sceniczne. Pokazuje się więc, że publiczność francuzka nie wymagająca i nie podniesiona nauką historji na stanowisko krytyczne, sądzi dramat z wrażenia jakie wywołuje. Sceny zaś niektóre wielce są wrażliwe.

Co chwila niebezpieczeństwo się wzmaga, wyrok śmierci, szafot, trucizna, wreszcie miłość najpotężniejsza kończąca się męką samobójstwa, przemykają się przed oczami widzów. zaledwie mu pozwalając odpocząć, pokrzepić się choćby jednem odetchnięciem.

Ta to gra efektów w misterną ułożona tkankę, upstrzona pięknem stylowem obrobieniem, czasami do tkliwéj wzniosłości dochodzącem, najgłówniéj podobno przyczyniła się do powodzenia dramatu, który pod względem czysto literackim małą niezmiernię posiada wartość.

K. G.

Z księgi pieśni ludowych.

I.

Daj mi, daj mi bujne loty, zmień mię w orła Boże!
Ach! polecę szukać miłéj — polecę za morze!
— Alboż tutaj nie do oka, nie do serca tobie? —
— Nie do oka, nie do serca — życie tu jak w grobie.
— Alboż tutaj dziewcząt niema, dziewcząt urodziwych,
Długowłosych, jasnookich, albo czarrnobrewych?
— Są i tutaj krasawice, ale co mi potem.
Dokupywać się potrzaba wzajemności — złotem!

II.

Tęskniż, tęskni serce moje, ach! za tobą miła!
Na wspomnienie żem cię lubił, i żeś mię lubiła.
W dzień i w nocy dumki dumam — a wszystko o tobie:
Przyjdzie z tego zakochania ledz podobno w grobie.
Skero oczy moje z twemi zeszły się oczyma.
Chciałem zaraz ci powiedzieć, że już rady niema.
Byś lubiła mnie jednego, powiedzieć nie śmiałem,
Że bez ciebie żyć niemogę, w śmierć się rozkochałem.
Jak niewidzę twojéj krasy, rokiem mi godzina,
Nie rozbije méj tęsknoty najmilsza rodzina.
Kędy jeno się obrócę, wszędy cień twój zemną:
Spokojności, jak świat wielki, szukałem daremno.
Ja cię lubię: nie zapomnę dopóki żyć będę,
Spojrzyj na mnie, na godzinę smutku się pozbędę.
Druga na mnie czeka, jadę — lecz serce zostawiam;
Poprzysiągłem być ci wiernym, przysięgę ponawiam.
Choćby tysiąc dziewcząt było, niespojrzę na żadnę.
Jeśli miałbym ciebie zdradzić, niech marnie przepadnę!

III.

Oj wyjdę ja, wyjdę sobie na czarną mogiłę,
I pożegnam złote słonko, a z niem oczy miłe.
Potym wsiądę na wronego, czapką ludziom skinę,
Powiem lubéj: bywaj zdrowa! i na wieki zginę.
Smutki duszę mą obsiadły, jako muchy padło;
Ej! już niemyśl głowo moja, bo wszystko przepadło!
Już nadzieja duszy mojéj nie częstuje miodem:
Bo kruk czarny smutku krąży, nad mem sercem młodem!

L.

DZIEDZICZKA JODŁOWCA

POWIEŚĆ,

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg.)

Myślę, że to jest rzecz prosta zupełnie — odrzekła spokojnie — powodowało temi paniami, wrodzone nam wszystkim, poczucie gościnności dla obcego, a może i wdzięczne uczucie dla przyjaznego krajowca. Być może, że przytem i pewna ciekawość poznania go bliżéj, pomówienia z nim, posłuchania go... I ja, i każda byłaby pewnie to samo zrobiła.

— I pani?

— Wyznaję to z otwartością całą. Franiu, Adziu, wy także, nieprawdaż?

— O, tak!

— Tak, tak! Poznałybyśmy go chętnie.

— Bez względu na jego *twenty thousand pounds* dodała Janina.

Jerzy uśmiechnął się.

Janina z pokoju wyszła.

— Zbiła ciebie nieco—wymówiła pani Radzyńska.

— Rad jestem z odpowiedzi panny Siemońskiéj; i obrony: było to po niewieściemu, tak jak być powinno, szlachetnie... i z prawdą! — odrzekł Jerzy, powstając. Nie każda podobno byłaby w ten sposób siostrzyc swoich broniła. Kobiety zwykle nie stawają w obronie jedna drugiéj, a jeżeli to czynią, to w rodzaju Antoniuszowym: *And Brutus is a honest man*.

— Och, panie Jerzy!— zawołała pani Radzyńska.

— Wujciu! — wymówiła Frania z wyrzutem.

— Szkoda, że niemasz Janinki, bo wujkowi odpowiedziała by pewnie—wyrzekła Adzia.

— Co do panny Siewońskiéj, to wszakżeż powiedziałem właśnie, że jéj za obronę drugich należy się uznanie i szacunek.

Adzia pogoniła za Janiną, by jéj powtórzyć Wujka pochlebne o niéj wyrazy...

Przy obiedzie, Janiny lica świeższym kwitły odcieniem, oczy błyszczały, i uśmiech młody a miły wdzięku jéj rumianym dodawał ustom. Była wesołą i mówiącą.

O wczorajszym wieczorze i Angliku już dziś mowy nie było więcéj.

Państwo Radzyńscy przedsięwzięli zaraz po św. Trzech Królach Warszawę opuścić.

W nowy rok zaprosili wszystkich znajomych swoich na wieczorek z tańcami. Wielkie czyniono zachody — a panienki przez dni parę tylko swojemi toaletami zajęte były.

Frania i Adzia włożyły białe sukienki leciuchne i śliczne staniki różowe. Włosy ich ułożone zręcznie, bez wszelkiéj innéj pozostały ozdoby.

Janina nader powabnie wyglądała w białéj także sukni, świeżutkiéj, z tuniką z materyi błękitnéj, ze zgrabniutkim stanikiem. We włosy wpięła dwa białe narcysy i amarantowy hiacynt. Na szyi i na ręku czarne miała perły.

Poczciwa pani Radzyńska, obejrzawszy swoje dziewczątka, rozjaśnioném na nią popatrzyła się okiem.

Salon około godziny 9 wszyscy zapełnili znajomi: nie przybył wszelako profesor.

Piękna Klotylda, w białéj krepie, podpinanéj różami, i z różami we włosach, wyglądała jak jedna z trzech gracyj.

Frani i Adzi serduszka z rodości skakały, zanim jeszcze taneczne odezwały się tony.

Do fortepianu zasiadł jakiś młody pianista, a za nim skrzypek — i zadzwięknął ochoczo-melodyjny kontredans na motywa któréjś z ulubionych oper.

Pan Jerzy stanął w pierwszéj parze z panną Klotyldą.

Do mazura wszelako już poprzednio pannę Siewońską poprosił. Klotyldę prowadził pan Stanisław Sosnowiecki — zaliczony do pierwszorzędnéj tak zwanéj złotéj młodzieży a nie pozłacanéj tylko.

Janina ślicznie tańczyła, a raczéj płynęła w tańcu: z życiem, raźno, ale gładziutko, z gracyą i lekko, jak ptaszek.

— Utrzymałaby szklankę wody na głowie — wymówił pan Radzyński — otóż taki lubię taniec, bez rzutów, bez podrygów, bez krętaniu jakichsić....

— Alboż to i nasze dziewczęta nie ładnie tańczą? — poszepnęła mu żona z radosném wejrzeniem.

— Ptaszęta wdzięczne a naturalne — odrzekł ojciec wesoło. Mają wzór dobry z panny Siewońskiéj.

I naprawdę, że Frania i Adzia były jak dwa wdzięczne kwiatki, lekkim unoszone podmuchem.

— Zapewne dobrze jest tańczyć z panną Siewońską? — zagadał po skończonym tańcu pan domu do Jerzego.

— I z samą *Terpsichore* nie byłoby lepiéj! — odrzekł ten ostatni z uśmiechem. A stojący opodal asesor dziwne rzucił spojrzenie — i wyrzekł:

— Ma *szyk* panna Siewońska.

Zabawa ochoczo aż do godziny trzeciéj z rana potrwała. Wszyscy zabawili się doskonale. Wykazało się nawet i panna Dubois, z którą pan Jerzy drugiego tańczył kontredansa.

Po świętach zajęła się Janina wyborem książek, które czytelnią na wsi stanowić miały. Wyhasała cały szereg dzieł historycznych, pamiętników, podróży, poezyj pięknych i najlepszych powieści. Pan Jerzy wielką jéj przytém był pomocą.

Państwo Radzyńscy zrobili układ z profesorem, że panienki co miesiąc nadsyłać mu będą do przejrzenia obszerne wypracowania, podług zadanego tematu. A pomiędzy temi miały być historyczne zadania, i rozbiory dzieł przeczytanych z literatury pięknéj. Podobna umowa stanęła i z panną Dubois, co do języka francuzkiego i literatury.

Nadto wybrała Janina całą plikę pięknych utworów muzycznych, bo jakiś dobry pianista, zostający w sąsiedztwie Zajezierza, miał kierować dalszą nauką panien.

Zaopatrzyła się także i w piękne wzory do rysunku i malowania, i we wszelkie ku temu potrzeby, by pospołu z panienkami rysować i malować. A Janina była wielce pod tym względem uzdolnioną.

— Czy pani nie żal Warszawy?—zapytał jéj dnia jednego pan Jerzy, właśnie gdy skończyli wypis lepszych powieści angielskich.

— Bynajmniéj! — odrzekła z lekką na licu krasą, cieszę się na wieś.

— Pani wieś lubisz?

— Jedynie.

— I bez żalu porzucisz Warszawę?

Umilkli oboje.

— Karnawał będzie tu zapewne świetny i wesoły — zaczęła po chwili, alem ja wcale nie karnawałowa, to i nie mam czego żałować.

— Nie o karnawale mówiłem.... I ja karnawałować nie będę.

Janina nie śmiała go zapytać: czy na karnawał nie pozostanie w Warszawie. Oboje milczeli przez chwilę znowu — a potém panienki z drugiego nadbiegły pokoju.

Na dwa dni przed oznaczonym, przez pana Radzyńskiego, dniem wyjazdu z Warszawy, przybył Jerzy jak zwykle na herbatę.

Z gości nikogo nie było.

Pan Jerzy był jakoś więcéj zamyślonym i mniéj rozmownym, jak zwykle.

— Jużem się ze wszystkiem ułatwił, wyrzekł po chwili — a mój Sylwester już nawet popakował wszystko.

Serce Janiny zadrgnęło: pochyliła się nad robotą, bo czuła, że zbladła.

— Czy rychło wyjeżdżasz? zapytał Radzyński.

— Rychło. Dziś was pożegnam.

Biednéj dziewczynie aż niby tchu nie stało.

— Wujcio jedzie do Żurawina? — zapytała Adzia.

— Do Żurawina.

— Na długo? — zapytała Frania.

— Sam nie wiem.

— Jakże Janina wdzięczną była dziewczątkom za te zapytania.

— A do nas, przyjedzie wujek?

— Zapewne, moja Adziu, bo wybieram się do Lwowa.

Cierpkie uczucie przejęło Janinę na tę wiadomość, a raczéj na wspomnienie pana Hilarego — i zawierzonych swatów.

— Wujcio pojedzie na długo?

— Podobno.

— To wujek na balach w Warszawie już nie będzie wcale? — zwróciła Frania ku niemu swoje łagodne oczęta.

— Nie mam zamiaru.

Nadejście panny Dubois tok rozmowy zmieniło.

O zwykłéj godzinie pożegnał się Jerzy.

Janina boleść jakąś uczuła.

— Żegnam panią. Do zobaczenia! — wymówił, podał jéj rękę i wybiegł.

Popatrzyła na drzwi, które zamknęły się za nim— przyjęło ją zimno — poczuła żal nieokreślony i byłaby chciała zapłakać. Mimowoli posunęła się ku oknu — i posłyszała turkot oddalającego się pojazdu, który cierpko w jéj odbił się uchu.

Chcąc pokryć to, co w jéj działo się duszy, poczęła wesoło z panienkami rozmawiać. Siliła się o ile mogła lecz wszystko jéj ołowiem ciężyło.

Po wyjeździe Jerzego, Warszawa stała się dla niéj pustą, głuchą i smutną. Z niewysłowioną trwogą poznała.... czem *on* był dla niéj. Powtarzała sobie każdy jego wyraz, każde słówko wyrzeczone, spojrzenie każde... a doskonałą pod tym względem miała pamięć. Lecz wszakże to zwykłe są dzieje — stare jak świat niemal!

„Uciekać!“ — odgłaszało się w jéj łonie — i po dwa razy już siadała do pisarki, by list napisać do pani Siewońskiéj, zaklinając ją, ażeby co rychléj pospieszyła i zabrała ją do Jodłowca. A znowu zaraz rzuciła pióro.... Wreszcie list napisała, list długi, obszerny, ale nic w nim o tem nie było, ażeby wracały.

Walka toczyła się w jéj sercu i duszy, nie potrafiła sama sobą rządzić i wszystko pozostało się, jak było.

Ulgą stał się dla niéj wyjazd z Warszawy; żegnała ją wszelako cichem westchnieniem i łzą na źrenicy: serce unosiły wspomnienia urocze i słodki niepokój; dotąd znany jéj tylko z wyrazu — z poezji.

CZĘŚĆ DRUGA.

W snach ciebie widzę — . . . . .
A gdy cię widzę to dla mnie świat inny....
Taki uroczy... niosący nadzieję...
Taki powabny, jasny i niewinny..
Zda się, że wszystko na okół się śmieje...

M. Dzikowski.

Zajezierze w ładnéj leżało okolicy: wzrok sięgał daleko i liczne w koło ogarniał sioła, tu i owdzie poprzerzynane lasami. Żyzne pola i łąki długiemi ciągnęły pasmami.

Dwór obszerny, długi, niesymetrycznych kształtów w skutek różnych przybudówek, różnemi poczynionych czasami i stósowanych do potrzeby — widny już zdala na obszernym dziedzińcu, z facjatką, z galeryjką na filarach główne zdobiących wnijście, zdawał się do Janiny uśmiechać, tak gościnnie i domowo wyglądał. Z przodu obszerny trawnik owalny, przypruszony dziś śniegiem a po bokach krzewiny niewysokie, odsłaniały go całkiem. Po za nim dopiero wysokie stare, wznosiły się drzewa, pojedynczo niemal stojące, tu i owdzie tylko klombem niższych otoczone krzewów. Daléj gęsty lasek z drzew różnych zamykał ogród.

Słońce zachodziło właśnie, barwiąc różowawym po-

łyskiem poszroniały krajobraz, gdy kareta przez bramę murowaną na dziedziniec wjechała.

Janina, wyglądająca przez okno spuszczone, uśmiechem swoje nowe witała mieszkanie i jakaś dziwna błogość zaległa w jéj sercu.

Służba wybiegła i z radością przybyłe państwo witała.

Pani Radzyńska zaraz poprowadziła Janinę do jéj pokoju: był on od ogrodu — i tak samo, jak w Warszawie, przytykał do pokoju panien i sypialni samejże pani. Od razu dobrze jéj w nim było. Justysia zniosła rzeczy i we dwie zaraz porządkować zaczęły. Janina zaledwie tyle sobie czasu dała, by filiżankę kawy gorącéj wypić: pilno jéj było urządzić się wygodnie i z ładem pod tym dachem przyjaznym. To też, zanim jeszcze zamierzchło, już tam wszystko było w porządku, że aż zdziwiła się pani domu, i uścisnęła ją z uśmiechem nazywając: swoją kochaną, praktyczną dzieweczką.

Wieczorem zebrali się wszyscy na herbatę w dużym salonie, do którego przytykał ładny gabinecik, półokrągły, od tegoż tylko trzema oddzielony filarami, oszklony i zastawiony kwiatami z cieplarni.

W salonie na kominku żwawy trzaskał ogień.

Na herbatę zaproszono starego rządcę, pana Grablewicza, i pisarza prowentowego. Janina z przyjemnem uważała uczuciem, jak dobrym był stosunek pomiędzy nimi a państwem. Zapytywania różne i odpowiedzi i opowiadania wszelkich wydarzeń, jakie zaszły w Zajezierzu od ostatniéj tutaj bytności pani Radzyńskiéj, zapełniły niemal wieczór cały.

Gdy po powiedzeniu dobra noc, Janina następnie sama w swoim pozostała pokoju, stanęła przy oknie, otworzyła okiennicę, i patrzała się na zimowy obrazek, księżycowem rozjaśniony światłem. Głęboka zaduma przysłoniła jéj czoło, a czarne oczy łzą połysnęły: myśl tęskna zawiodła ją do Jodłowca — do Złocina — do Meranu.... Przycisnęła splecione dłonie do piersi — o jakżeżby w téj chwili rada była uściskać poczciwą wujencię; kochaną, z matczynem sercem panią Siewońską — i drogą siostrzyczkę, Juleczkę!... łzy strumieniem po zróżowioném potoczyły się licu. Widziała okiem duszy swój ulubiony w Jodłowcu pokoik: taras, ogród, piękne wielkie drzewa, modrawe jezioro, na lewo wieżycę kościoła, po za jeziorem miasteczko.... Sięgnęła myślą dalej—dalej— w duszy jéj stanął obraz pięknéj, bladéj, uśmiechniętéj kobiety....

"Matko! matko moja!„ — poszepnęła drgającemi ustami — dodała ciszéj: "sierota!„—upadła na krzesło, zacisnęła dłońmi oczy i zapłakała. Potém, znowu, po chwili, inne zamajaczyły wspomnienia — widzenia. Wszakżeż młodą była, wiosna życia uśmiechała się do niéj: serce najwdzięczniejszą poczęło przemawiać nutą... pan Jerzy Gorysławski przesunął się w młodéj myśli *majaku* — z uśmiechem swoim mówiącym, a głębokiem spojrzeniem... Łzy przyschły na licu, wdzięczny niby uśmiech osiadł na ustach... uobecniła sobie wyrazy jego, a więcéj jeszcze wymowną modrych oczów mowę... i byłaby mogła tak do rana pomarzyć, podumać, gdyby nie stróż nocny, który po za węgłem dworu godzinę dwunastą ogłosił. Posłyszała skrzyp jego chodu i szybko okiennicę przymknęła.

Sen błogi, spokojny, niezadługo jéj skleił powieki. Senne marzenia miłe sprowadziły obrazy. Nazajutrz powitała dzień jasny wypoczętym i rzeźwym umysłem: powitała słonko w Zajezierzu wesołém dzień dobry.

Gwarno zrobiło się teraz we dworze — a do tego gwaru przyczyniły się i panienki, niby ptaszki, wypuszczone z klatki na wolność.

Około południa, a dzień był jasny, słoneczny, kazały zajechać wózkowi małemu, zgrabniutkiemu, w uprzęży dwóch ślicznych siwych kucyków. Tomek rówieśnik Frani co do wieku, a syn jéj niańki, w granatowem suknem poszytym kożuszku i czerwonéj z barankami czapce, tym faetonikiem kierował. Panienkom pilno było Janince ukochanéj ogród cały pokazać i wioskę: niebawem też nadeszły wszystkie trzy, ze śmieszkiem i szczebiotem, wsiadły do wózka, Tomek zaciął małe bucefaliki i puścili się chodnikami w około drzew wiekowych, sterczących wysoko pod jasnym błękitem.

— Wujcio Jerzy niezadługo nadjedzie, najdaléj za dni kilkanaście, jak mówił — zaczęła Adzia — a wtedy on nas powozić będzie. Może śnieg spadnie, to saneczkami pomkniemy. O, będzież to miło! — i aż w dłonie klasnęła.

— Z pewnością wujcio rychło nadjedzie — dodała Frania — bo wszakżeż to mówił do tatki.

Janiny serce uderzyło: właśnie w lasek wjechali a ślicznie tam było! Skręcając po chodnikach, to w lewo, to w prawo, dojechali do końca tegoż i szeroko rozwarło się otwarte przed niemi pole. Niedaleko, poza gładkiem polem, bielał w słonecznym promieniu ładny domek, sztachetami ogrodzony, a przy nim parę porządnych, gospodarczych budynków. Dym z białego komina, w przerzedzonem powietrzu, długim w górę pociągnął obłoczkiem.

— Tam ot mieszka nasz najlepszy przyjaciel! — wskazała Adzia zagrodę — major Wroniawski, którego wspominamy tak często.

—To więc jest Grządka?—zapytała Janina, chwytając wzrokiem ładny obrazek, który zagroda starego wojaka na tle ciemnawego toczyła lasu.

— Grządka! — odrzekła Frania — gdzieśmy nie jednę miłą przepędziły chwilę, nie jedno zjadły śniadanko i podwieczorki wyborne.

— Pieczone kurczęta, szparagi, młode ziemniaczki, smietanę z konfiturami.... A majorek i śliczne ma owoce, które sam choduje. Gdybyśmy teraz zajechały do niego! — zawołała Adzia .

— Adziu! Coby też mama powiedziała na to! — zastanowiła się starsza siostrzyczka. Pokażemy Janince wioskę... Tomku, skręć przez pole i obwieź nas w koło!

— Major by się ucieszył—mówiła jeszcze Adzia.

— Lecz taka wizyta byłaby niewłaściwą wcale — ozwała się Janina, i trzpiotowatą trochę, pomimo najlepszéj znajomości i przyjaźni z majorem.

— Przyznaję, przyznaję! — i Adzia, pochylając się ku niéj, lekkim pocałunkiem musnęła jéj lice.

— Zresztą major z pewnością na obiad przybędzie, zauważyła Frania, to go powitamy, i Janinka naszego poczciwego pozna przyjaciela.

Zajezierze ciągnęło się długo, dotykając z jednéj strony rozległego jeziora, od którego nazwę swoją wzięło. Janina z przyjemnością patrzyła na porządne zabudowania wieśniacze. Wszędzie dachy były całe, białe kominy, i nigdzie okien nie zalepiono papierem lub zatkano szmatem. Przy każdym był żywopłot z tarniny.

Okrążyły gumna, długie stodoły, murowane stajnie, wozownie, obory, owczarnią i spichrz duży o piętrze, pod dachówką i z chorągiewką żelazną. Opodal ładny był domek także pod dachówką, a przy nim ogród.

— To jest mieszkanie rządcy—wymówiła Frania.

Właśnie doń dojeżdżały, gdy z jednego okna, z poza firanki persowéj, wyjrzała sędziwa kobieta, w białym czepku, a potém przed dom wybiegła.

— Stój, Tomku, stój! — zawołały panienki.

Pani Grablewiczowa na ich powitanie przybiegła.

— A co robią państwo Doniewscy? — zapytała Frania.

— Zdrowi, zdrowi. Dziękuję za pamięć kochanéj paniuni.

— A Józia i Antoś? — pytała znowu Adzia.

— Zdrowi i uczą się dobrze.

— A niebędąż tu kiedy?

— Teraz nie tak prędko. Chyba na wielkanoc dopiero.

— Zajrzemy tu kiedy z panną Siewońską. Do zobaczenia! — pożegnały się panienki.

— Pani Doniewska jest córką Grablewiczów — wyjaśniła Frania Janinie — mieszkają w mieście, bo pan Doniewski jest pisarzem sądowym. A Józia i Antoś to ich dzieci, ładne gdyby aniołki! Pani Grablewiczowa i pani Doniewska bardzo dobre są kobiety.

— Bardzo je lubiemy! — dodała Adzia.

Janinę serdecznie cieszyło wszystko co widziała i słyszała.

Wózek minął długą oficynę i skręcił w koło trawnika, gdy obiedwie panienki jednocześnie zawołały.

— Major kochany!

— Poczciwy pan major!

Przez okno z salonu ukazała się właśnie głowa sędziwego mężczyzny.

Wózek zajechał przed wystawę. Wybiegł pokojowczyk Szymon, a za nim major: poważna postać, miłego, poczciwego wyrazu, w szaraczkowéj bekieszy.

— Witam, witam moje gołąbki i przepióreczki!— zawołał, i pomógł im zesiąść z wózka.

Panienki uścisnęły go przyjaźno.

— A proszęż mnie pannie Siewońskiéj przedstawić — wymówił z dobrotliwym uśmiechem, pochylając się przed Janiną.

— Pan major Wroniawski, dawny nasz a najlepszy przyjaciel — wymówiła Frania.

— Którego kochamy, jakby wujaszka albo dziadunia naszego — dodała Adzia.

— Dziadunia, no no! — zaśmiał się major i pokręcił głową — zaraz i dziadunio. Ale, cóż robić niestety!.. Służę pani, podał rękę Janinie i wprowadził ją do dworu.

Panny pobiegły ubrać się do obiadu, bo w kredensie stary Marcin już brząkał talerzami.

W tydzień po przyjeździe do Zajezierza, Janina napisała do Meranu.

„Kochane moje! Najdroższe“!

Od tygodnia już jestem w Zajezierzu — a jestem jakoby w niebie. Pisałam do Was na wyjeździe z Warszawy, a teraz wstrzymałam się dni kilka, by obszerniéj o wszystkiem, jak tutaj znalazłam i jak się urządziłam, pomówić.

Tylko Was mi tutaj brakuje i sąsiedztwa Złocina, inaczéj byłby to raj dla mnie na ziemi. Jacyż to poczciwi ludzie, i jak tu jest błogo, spokojnie i miło! Prawdziwie po patryarchalnemu. Zajezierze nie jest rezydencją piękną, wystawną, lecz śliczną! I umieją tutaj stworzyć sobie szczęście, w miłości wspólnéj zgodzie, na podstawie sprawiedliwości, prawdy i pracy. I pracy! bo i pan i pani wszędzie przewodniczą skrzętnością i przykładem dobrym, co zapewne najprawdziwszą jest nauką. Trzymają się dawnego przysłowia: *Pańskie oko konia tuczy.* Widzę wszystko, uważam i pouczam się. Szczęście to dla mnie niewypowiedziane, żem tę zacną poznała rodzinę, żem się zaprzyjaźniła z niemi, żem się z niemi wdomowiła, żem ich pokochała! Co zaś daléj będzie?... Och, nie chcę sobie w téj chwili błogiego mięszać uczucia: nie chcę ssać goryczy!... Nie chcę sobie zakłócać myśli i uczuć podrażnić. Nadejdzie chwila, nadejdą okoliczności, gdzie troska... a może i wyrzuty przybłąkają się same... Wyznam im wszystko, oczywiście i to pewno niezadługo. Byłabym to już uczyniła, byłabym się pani Radzyńskiéj powierzyła ze wszystkiem... gdyby ona nie była kuzynką pana Jerzego! — co daléj będzie? Jak się ten węzeł gordyjski, zaszeplony niebacznie, rozgmatwa?.. Bóg jeden wie!

Ale o czem innem!

Zrana, po śniadaniu, przychodzą do mnie moje dziewczątka kochane. Zasiadamy z robótkami a są to dzieła tajemnicze, na wiązarki imieninowe dla mateczki. I z kolei czytamy tylko rzeczy treści poważnéj z dziedziny historji.

Potem, po drugiem śniadaniu, jeżeli dzień jest pogodny, wybierzemy się na przechadzkę, czasem pieszo, czasem wózkiem, istnem cackiem w uprzęży dwóch ładniutkich kucyków. Co do mnie, przedsięwzięłam z zasady tę przechadzkę odbywać codziennie, zawsze o ile dozwoli powietrze. Panienki wyłamały się już po dwa razy: to za zimno im było, to wolały przy mateczce pozostać.

O godzinie drugiéj objad regularnie i podług zegarka. A po objedzie zasiadamy wszystkie w cudnym gabineciku przy salonie: dzielą go od tegoż tylko filary; ma kształt półkrągły, jest oszklony od ogrodu i od dziedzińca, bo stanowi narożnik i jest zastawiony kwiatami, przyniesionemi z cieplarni. Mała kanapka, wygodne foteliki, dwa stoliki maleńkie, duże zwierciadło, piecyk w kształcie urny, i lampa duża opuszczona od sufitu; otóż i macie obraz téj naszéj milutkiéj siedziby, którą pan Radzyński żartobliwie *klateczką panieńską* nazwał.

(d. c. n.)

Pogadanka Tygodniowa.

Czyby kto uwierzył że Warszawa, owa niegdyś kabałowa mieszczka, co z książką do nabożeństwa i latarką w ręku, jeszcze przededniem zasiadała w ławach Swiątyń Pańskich, aby modlitwą krzepić ducha: co żyjąc po prostu, bigosem i kiełbasą, popijała podpiwkiem a czasami cienkim węgrzynem; co wreszcie nie przesadzając się w ubraniu, kosztowniejsze szaty przekazywała z pokolenia na pokolenie, a od zamorskich wymysłów zażegnywała się jak przed pasztetem z kuchni lucypera: otóż ktoby się spodziewał że ta sama Warszawa, w drugiéj połowie XIX wieku, prosta, niewymyślna, w Lutym a nawet w Styczniu, zajadać będzie indyki, kapłony, kurczęta, rzodkiewki, sałatę głowiastą, szparagi; połykać ostrygi, pająki morskie, różne delikatesy, popijać szampanem, a na wety ogryzać wędzone łapy niedzwiedzie. Widocznie oświata w górę idzie, nauka wykryła przysmak w najmniéj nawet pozornych rzeczach, i gdy Lapończyk albo Grendlanczyk opycha się mięsem psa morskiego, przed nami cały świat zwierzęcy i roślinny roztacza swoje bogactwo, mówiąc: bierz i używaj.

W ten sens, jak powiada nasz nieoszacowny Pasek, prawiłbym jeszcze dłużéj, bo w czarnem usposobieniu jasne barwy jak spłoszone ptastwo uciekają z myśli. Powodem do tego stały się doniesienia pism naszych, powtarzające się niestety! za nadto często, o różnych kradzieżach dokonanych ze sprytem dotąd nie znanym. Tu wniesiono złodzieja w sofce a potem wyniesiono razem z wykradzionemi rzeczami. Tam znów jakiś jegomość obstalował w cukierni sto paszteców, wziął z nich dziesięć, późniéj stargował zegarek za 90 rubli, schował go do kieszeni, a chłopcu posłanemu za sobą po pieniądze, kazał wydać pozostałe w cukierni dziewięćdziesiąt.... pasztecików i sam czmychnął bez śladu i wieści. W innym miejscu jakiś wizytujący jegomość z wyrażeniem wdzięczności za otrzymane wsparcie, wykrada z szafy tużurek: — w innem pisze niby kartkę do nieobecnego pana domu i także obławia się czem może. Niedawno do pani S...... przyszła służąca wzywając ją do choréj osoby. W środku drogi daje jéj adres tłumacząc się, iż sama musi porobić jeszcze niektóre sprawunki.

Uwolniwszy się tym sposobem od towarzyszki, biegnie do jéj mieszkania i zabiera wielką chustkę Himalaya i fartuch, jakoby zapomniane przez ich właścicielkę. Inna znów niby dla choréj siostry, tu wyprasza cukierki, tam ciastka, bułki, i sama je zajada śmiejąc się cichaczem z dobroduszności ludzkiéj. O kradzieżach prostych, zwyczajnych nawet nie wspominam: w kamienicy gdzie mieszkam zdarzyło się ich aż trzy w ciągu jednego miesiąca: trzech lokatorów straciło bieliznę suszącą się na górze, a i Janka z Bielca obdarto jak zająca ze skóry.

Dawniéj, każdy to przyzna że chociaż kradziono ale nie tak jak dziś ryczałtem, począwszy od chłopca wyciągającego chustkę z kieszeni, aż do panicza zmieniającego kapelusz na balu. Złodziejstwa dopełniały się niezmiernie zwyczajnemi sposobami, przy pomocy wytrycha, dłuta, siekiery, albo korzystając z niedbałości lub niedozoru ludzkiego. O wyrafinowanych kradzieżach, obmyślanych z dowcipem, przebiegłością jak to teraz się dzieje, nie miano najmniejszego wyobrażenia. W ówczas kradła sama prostota, według pomysłu prostéj głowy, dziś widocznie i krzywizna wzięła się do tego rzemiosła, sądząc po sposobach jakiemi się posługuje. Jakaż może być tego przyczyna?

Gdybyśmy troszeczkę poszperali, może część winy i w nas dałaby się wykryć. Ale za długie to studjum na przelotną tygodniową pagadankę, zwłaszcza że o czemś ważniejszem mam z Wami pomówić. Oto w tych dniach wyszedł, jak opiewa doniesienie, *Poradnik Bezika* przez A. B. C. magistra nauk spółkowych, członka wielu towarzystw karcianych, poprzedzony wstępem humorystycznym. Obok wykładu zasad gry, obejmuje rady, przestrogi, uwagi dla spektatorów i post-skryptum.

Że dziełko podobne wyszło, mniejsza o to, ale że pismo donosząc o jego wyjściu wyraziło się, że gra w Bezika tak dalece owładnęła dzisiejsze nasze towarzystwo, tak zajmuje i starych i młodych, a nawet piękne panie i panny (?) iż poradnik rzeczony istotnie ukazał się na czasie — to mnie dziwi i to niepospolicie. Panowie prawda że grają, zawzięcie i zapalczywie, ale na szczęście kobiety nasze jeszcze się nie zaciągnęły pod sztandar żołędnego tuza. Gdyby nie to, zebrania domowe zmieniłyby się w domy gry, a owe miłe, często nauczające pogadanki, roz-

prawy, zamilkłyby może na zawsze przygłuszone szelestem kart rozdawanych.

Pan Cyprjan Leonowicz, autor jakiejś Dunaidy, rycerskiego poematu świeżo z druku wyszłego, opisującego podobno boje przekupek na Dunaju, ogłosił przed tygodniem prenumeratę na nowy poemat p. t. Mojsiada w 24 księgach, a czterech tomach. Prenumerata wynosi tylko rs. 3, a dla ułatwienia nabycia tak ważnéj i uczącéj publikacji, autor rozdzielił prenumeratę na tomy a nawet na same pieśni.

W Paryżu w końcu roku zeszłego, wyszła broszura któréj autorem jest Zaliwski — Mikorski, p. t. „La gravitation par l'électricité", poświęcona głównie dowiedzeniu, że elektryczność wywołuje zjawiska przypisywane ciążeniu czyli atrakcji będącéj zasadą ruchu planetarnego. Pogląd taki jeżeli się utrwali, i przyjęty zostanie jako zasada, w obszarach naukowych może nastąpić wstrząśnienie, wywracające wiele sądów i dowodzeń głoszonych dotąd za prawdy nieomylne. Jednym z takich burzycieli, był Kopernik w swoim czasie, kiedy słońce osadził w miejscu, a ziemię puścił w bieg w nieograniczone przestrzenie. Kto to wie czy czasem i p. Zaliwski—Mikorski podobnéj roli w naszém stuleciu nie odegra.

Równie miło wiadomością, są doniesienia z Paryża, o coraz częstszem obejmowaniu przez kobiety katedr naukowych. W tym czasie pani Sionia Lewy otrzymała pozwolenie na odczyty naukowe w Atheneum: w Brukseli zaś pani Hommaire de Hell miała przy końcu Stycznia odczyt o podróży swéj do Bitynji.

PRZEPISY KUCHENNE.

Ponczki parzone.

Bierze się mąki jak najpiękniejszéj, należycie wysuszonéj kwaterek trzy, i zaparza się ją kwaterką mleka niezbieranego. Gdy po wyrobieniu ciasta będzie takowe tylko letnie, wlewa się drożdży gęstych ćwierć kwaterki i wybija starannie dopóty, dopóki nie pokażą się bańki i ciasto nie zacznie odchodzić od ręki. Później stawia się je w ciepłem miejscu żeby cokolwiek wyrosło. Jak tylko zacznie się podnosić dodać piętnaście dobrze ubitych żółtek, pianę z czterech białek, masła klarowanego ćwierć kwaterki, trochę soli, wanilji, migdałów gorzkich trzy utłuczonych, cukru pół kwaterek dobréj miary i mąki tyle, ile się użyło do zarobienia ciasta. Po wyrobieniu znowu ciasto stawia się w ciepłem miejscu, aby troszkę podrosło.

Gdy takowe wyrośnie, stolnicę posypać należycie mąką, wyłożyć potem ciasto na nią jak najostrożniéj i roztoczywszy je równo, nakładać powidła lub konfitury, zawijać jak pierożki, wycinać szklaneczką, układać na sitach okrytych serwetami, a posypanemi mąką i zostawić tak do rośnięcia. Smalec rozgrzewa się mocno, do którego wlać trzeba kieliszek araku i na niego spuszczają się wyrośnięte ponczki, uważając aby wrzucane były wierzchnią stroną, gdyż jeszcze w smarzeniu rosną. Wyjęte na bibułę aby tłustość obsiąkła, układają się potem na półmisku i posypują cukrem.

Chruścik.

Do zrobienia ciasta wziąść ćwierć funta masła, żółtek dziesięć, pół funta cukru miałkiego przesianego, żeby gruzołków nie było, bo ciasto źle się wałkuje i rozdziera, pół filiżanki wina francuzkiego, wanilji lub cynamonu stosownie do gustu, i tyle mąki żeby wszystko można było zagnieść i cienko wywałkować. Potem się kraje żelazkiem na kawałki, te się przekłuwają gdzieniegdzie widelcem, żeby się w smarzeniu nie wzdymały i smarzą się na gorącym smalcu. Następnie tak jak ponczki wyjmują się na bibułę dla osiąknięcia z tłustości, a potem układają na półmisku i posypują cukrem.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się Dodatek arkuszowy z drzeworytami.

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.